№ 22. Warszawa, dnia 30 (18) Maja 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

KORONACYA
ICH CESARSKICH MOŚCI
NAJJAŚNIEJSZEGO PANA
CESARZA MIKOŁAJA II-go ALEKSANDROWICZA
i NAJJAŚNIEJSZEJ PANI
ALEKSANDRY TEODOROWNY.

Moskwa, 26 Maja. (T. A. R.) O godzinie 7 zrana zaczęły zjeżdżać się do pałacu w Kremlu osoby, biorące udział w pochodzie do Soboru Uspieńskiego. Wojsko było ustawione dokoła Kremlu, a na placu Sobornym od godziny 5-ej zrana z każdego pułku piechoty po pół roty, z wojsk gwardyjskich kawaleryi po plutonie. Na drodze, wiodącej od „Krasnego Krylca" pałacu do Soboru Uspieńskiego i dalej do Soboru Archangielskiego i Błagowieszczeńskiego, były ustawione szpalery wojska z muzyką. Koło Soboru Błagowieszczeńskiego stał chór muzykantów nadwornych z trąbami.

O godzinie 7 i pół zrana Jego Cesarska Wysokość Wielki Książe Włodzimierz Aleksandrowicz obszedł ustawione wojska. Wołostni starszynowie, wójci gmin i starostowie byli ustawieni na placu Soboru. Pomosty, znajdujące się tam i wokoło Iwana Wielkiego, od północnych wrót Soboru Uspieńskiego do Soboru Archangielskiego były pokryte suknem czerwonem. Na trybunach, wzniesionych dla publiczności, znajdowało się mnóstwo dam we wspaniałych toaletach. Dwupiętrowa trybuna dyplomatów była przepełniona świtami książąt zagranicznych; na niższem piętrze siedział emir bucharski i chan chiwański. O godzinie 8 zrana do „Krasnego Krylca" przyniesiono dwa baldachimy; mały dla Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej-Wdowy, większy dla Najjaśniejszych Państwa. Dzisiaj warta honorowa była z pułku preobrażeńskiego. Na chwilę przed rozpoczęciem pochodu mistrzowie ceremonii wprowadzili do Soboru Uspieńskiego ciało dyplomatyczne i książąt zagranicznych ze świtami.

Z uderzeniem godziny 9 rozpoczął się pochód do Soboru Uspieńskiego zgodnie z ceremoniałem. Przed rozpoczęciem pochodu Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, duchowny Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa Janyszew z dwoma dyakonami pokropił całą drogę od „Krasnego Krylca" do Soboru Uspieńskiego.

Pod pierwszym baldachimem, który nieśli generał-adjutanci z asystentami, szła Jej Cesarska Mość Cesarzowa Marya Teodorówna obok dwu asystentów: Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Aleksego Aleksandrowicza i następcy tronu Duńskiego. Tuż za Jej Cesarską Mością szły damy Dworu. W chwili wychodzenia Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani Maryi Teodorówny z pałacu na „Krasnem Krylcu" muzyka zagrała hymn rosyjski. Stojąca publiczność entuzyastycznemi okrzykami powitała Jej Cesarską Mość Najjaśniejszą Panią.

Pod drugim baldachimem, który nieśli generał-adjutanci z asystentami, szedł Najjaśniejszy Pan Mikołaj Aleksandrowicz z Najjaśniejszą Panią Aleksandrą Teodorówną. Najjaśniejszemu Panu asystowali Ich Cesarskie Wysokości Wielcy Książęta Aleksander Michałowicz i Włodzimierz Aleksandrowicz; Najjaśniejszej Pani Ich Cesarskie Wysokości Wielcy Książęta Sergiusz Aleksandrowicz i Paweł Aleksandrowicz. W chwili pojawienia się Najjaśniejszych Państwa na „Krasnem Krylcu" chóry muzyki zagrały hymn rosyjski, pokryty entuzyastycznymi i niemilknącymi okrzykami: „hura!" W cerkwiach zaczęło się ogólne dzwonienie i salwy armatnie na wieży Tajnickiej. Po przybyciu Insygniów Cesarskich do Soboru Uspieńskiego, wyszli na powitanie metropolici moskiewski i kijowski, dla pokropienia wodą święconą. Kiedy Najjaśniejsi Państwo zbliżyli się do przedsionka, na spotkanie wyszli metropolici: petersburski, moskiewski i kijowski z wyższem duchowieństwem. Metropolita moskiewski wygłosił do Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa mowę, petersburski podał krzyż do ucałowania, a kijowski pokropił wodą święconą.

O godzinie 8 zrana Sobór Uspieński był już przepełniony. Z prawej strony ołtarza w pobliżu tronów były miejsca dla Ich Cesarskich Wysokości Wielkich Książąt i Książąt zagranicznych; z prawej strony dla Ich Cesarskich Wysokości Wielkich Księżniczek i Książąt zagranicznych. Dalej przy prawej ścianie zajęli miejsca: zagraniczne ciało dyplomatyczne, świta Dostojnych Osób zagranicznych; przy lewej ścianie damy Dworu; przy ścianie za tronami urzędnicy Dworu, marszałkowie szlachty, prezydenci miast, korespondenci rosyjscy i zagraniczni. Sobór przedstawiał widok niezwykły.

O godzinie 9 zrana w uroczystym pochodzie przybyła Jej Cesarska Mość Cesarzowa Marya Teodorówna. Tuż za Jej Cesarską Mością przybyli do Soboru Najjaśniejsi Państwo.

O godzinie 10 i pół zrana odbyła się wielka uroczystość. Ukochany Monarcha koronował się wobec Rodziny Cesarskiej, książąt zagranicznych, dostojników i przedstawicieli stanów. Najjaśniejszy Pan miał na sobie mundur preobrażeński, oznaki orderu św. Andrzeja, wstęgę orderu św. Aleksandra Newskiego. Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna miała na sobie suknię białą srebrzystą i wstęgę orderu św. Katarzyny. Obecny był metropolita petersburski, przy współudziale metropolitów kijowskiego i moskiewskiego, przybyłego wyższego duchowieństwa greckiego i wielu archijerejów.

O godzinie 10-ej minut 4 Najjaśniejszy Pan przeczytał głosem silnym i dźwięcznym symbol Wiary; o godz. 10-ej min. 30 zrana włożył na

Siebie koronę, a w trzy minuty później włożył małą koronę na głowę Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny. Po przeczytaniu pełnego tytułu Cesarskiego o godz. 10 m. 40 rozpoczęła się salwa, poczem Ich Cesarskim Mościom Najjaśniejszym Państwu składały życzenia Osoby Rodziny Cesarskiej, Książęta zagraniczni i Księżniczki.

O godzinie 10 m. 55 Najjaśniejszy Pan, przyklęknąwszy, odczytał ustanowioną modlitwę, następnie metropolita petersburski przeczytał modlitwę za Cesarza od całego narodu, przyczem wszyscy uklękli. Po Pomazaniu i po udzieleniu Komunii św. Najjaśniejsi Państwo, we wszystkich oznakach godności Cesarskiej, przeszli do Soborów Archangielskiego i Błagowieszczeńskiego, a następnie przez „Krasne Krylco" do pałacu Kremlu. Z „Krasnego Krylca" Najjaśniejsi Państwo skłonili się ludowi. Entuzyastyczne okrzyki „hura" były odpowiedzią za ukłon Monarchy.

Po dokonaniu świętej Koronacyi Jej Cesarska Mość Cesarzowa Marya Teodorówna wyszła z soboru wśród ogłuszających entuzyastycznych okrzyków ludu i skierowała się pod baldachimem do pałacu Kremlu. Za jej Cesarską Mością szły damy Dworu, wszystkie w jednakowych aksamitnych i jedwabnych malinowych, złotem wyszywanych, sukniach rosyjskich, w różnokolorowych kokosznikach.

Najjaśniejsi Państwo wyszli z Soboru Uspieńskiego z przeciwnej strony i po pomostach, wzniesionych wokoło Iwana Wielkiego, skierowali się ku Soborowi Archangielskiemu. Na przedzie szedł pluton kawalergardów, następnie niesiono sztandary: najprzód grenadyerów pałacowych, a drugi państwowy. Przed samym baldachimem Najjaśniejszego Pana, który nieśli generał adjutanci z asystentami, szła rada państwa i ministrowie.

Po przybyciu do Soboru Archangielskiego Najjaśniejszych Państwa powitało duchowieństwo. Pokłoniwszy się grobom Przodków, Najjaśniejsi Państwo przeszli do soboru Błagowieszczeńskiego, gdzie całowali obrazy świętych.

Wyszedłszy z Soboru Błagowieszczeńskiego Najjaśniejsi Państwo udali się na „Krasne Krylco." Stanąwszy na najwyższym stopniu skłonili się ludowi, który niemilknącymi entuzyastacznymi okrzykami witał Najjaśniejszych Państwa.

Wysoce uroczystą była zwłaszcza ta chwila, kiedy naród ujrzał ukłony Monarchy. Pogoda prześliczna; ciepło. Niezwykły widok przedstawiały karety ambasadorów, kolejno przejeżdżające do pałacu.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— Co?... Czy to rzeczywiście takie dziecinne, co powiedziałam? — zapytała ona, przebierając palcami, jak gdyby chciała w nie uchwycić pyłki tańczące w promieniach.

— Nie dziecinne, lecz młode! Bo kto dużo ma przed sobą życia, ten nie ceni wiosny, ani słońca — odparł Vico zapatrzony w nią z smutnem rozmarzeniem.

A ona podniosła cieniste rzęsy i tak cała w blasku, uśmiechała się do widzeń młodości, do tego poczucia, że istotnie ogrom świata i uciech ma przed sobą.

I wiał z niej taki urok, że Pietro, jakby odurzeniem zdjęty, wpół senny, wpół przytomny, pochylał się, pochylał zwolna i przygarnął ją ku sobie ruchem miękkim i łagodnym, i w oczy jej ustami wpił się z upragnieniem.

Ada zmartwiała; lecz oswobodziła się prędko i bez trudności.

Za pierwszym bowiem jej ruchem, on ramiona bezwładnie opuścił. Samo przełamanie się wezbranego szału pokonało go, wtrącając w niemoc. Oczy ręką przysłonił i tak został.

Ona zaś oprzytomniawszy, powstała, odsunęła się i machinalnie poczęła palce oczyszczać z resztek gliny.

Zdumienie równoważyło w niej oburzenie. Bo jużciż choć z takiem upodobaniem igrała, i choć wiedziała, że w powieściach i rzeczywistości kobiety nieraz znajdują się w objęciach mężczyzny, nie przypuszczała wszakże, by ją naprawdę śmiał pocałować człowiek obcy. Więc doznawała wstydu za siebie i za niego, i doświadczała gniewu mimo żalu, jaki budził w niej jego smutek.

Wreszcie nie spoglądając, ani słowa mówiąc, ściągnęła bluzę, kładła kapelusz, okrycie — i odchodziła.

Na szmer jej kroków, Pietro ocknął się i posunął za nią, prawie się zataczając, jak gdyby ciężar dwudziestu lat, w tej chwili dorzuconych na barki, przygniótł go i złamał.

Już przy drzwiach zatrzymał ją, za ręce ujmując ze skruchą i prośbą. Łzy miał w oczach.

Ada pomieszana dała sobą powodować przez tę chwilę. A trwożne, niespokojne jej spojrzenie mówiło: „I cóżem ja winna? com winna? A cóż poradzić mogę?"

Wreszcie ręce z dłoni jego wysunęła i wyszła.

Ołowiane chmury znów czystość nieba zaciemniły i śnieg padać zaczął.

Ona mimo to szła pieszo do samego domu, nie czując wilgoci i chłodu.

XI.

Nazajutrz Ada odebrała od Janusza kartę z krótkiemi słowy: „O piątej będę."

Zawiadomienie to zaś doszło ją ledwo na godzinę przed jego przyjściem. Zaskoczona przeto niespodzianie, a zmuszona głowę zaprzątać najrozmaitszemi lekcyami i sesyami, które należało z tego powodu odłożyć, zgoła nie mogła zebrać myśli, ani wyklarować swoich uczuć, od dnia poprzedniego tak zamąconych nowemi wstrząśnieniami.

Witała też Orońskiego nie z uciechą ani z trwogą, jakby oszołomiona wewnętrznym odmętem, z którego co wypłynie przy tem pierwszem widzeniu, od chwili nowego między nimi stosunku — sama nie wiedziała.

On przeciwnie, wszedł krokiem pewnym i żywszym niż zwykle, i przy powitaniu z taką tęsknotą i miłością twarz schował w jej dłoniach, że na razie nic nie widział i nie miarkował.

Po chwili jednak poczuł, że ona jakby się cofa, postrzegł, że nie odzywa się, i spojrzał w jej źrenice z niepokojem, pytająco. A w rysach jego zaostrzonych, w oczach pociemniałych od wzruszenia, odbiła się cała walka uczuć, miotających duszą.

— Ado, masz żal do mnie o coś? Gniewasz się? Nie wyrozumiałaś, że nie mogłem, w żaden sposób nie mogłem przyjechać wcześniej? — pytał cicho i patrzył badawczo.

Ale ona wciąż milcząc, prawdziwie cofała się, czy wahała, potrzebując niejako oswoić się pierwej z tą jego serdecznością.

— Więc gniewasz się naprawdę? A! — rzekł i palce jej w swoich zamknięte, nagle puścił.

Wzdłuż pokoju przeszedł, rękoma bezwiednie rozłożył, snadź mówiąc w myśli: „Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego, nie tego! I co to? zkąd? o co?"

Po chwili jednak przystanął i znów zwrócił ku niej oczy.

Ona tymczasem przesunęła się, na kanapce siadła i też na niego patrzyła.

Naraz Januszowi się zdało, że chwyta uśmiech na jej twarzy i rozjaśnienie. W sekundę już był obok na taborecie.

— Dlaczego tak mnie witasz zimno, prawie nieprzyjaźnie? Dlaczego? Czy jeszcze wątpisz o tem, że cię kocham? — pytał zcicha.

— Bo ja wiem... bo ja wiem — odpowiadała szeptem, rzęsami mrużąc.

— A ja dziś już wiem, że ty wprost pojęcia nie masz o takiej, jak moja miłości! — wybuchnął gwałtownie.

— O, gdybym ja cię tak nie kochał! — podjął po chwili nieco spokojniej. — Pomyśl, pomyśl tylko, co za straszne życie stworzyło się dla mnie! Kłamstwo, i kłamstwo, i udawanie tak mi wstrętne. Nie! nie przypuszczałem, abym nawet umiał wytrwać w podobnem położeniu. A przecież nie mogę się odzywać wobec grozy śmierci, jaka tam zawisła. To człowiek ze wszystkiem stargany! I dziś życie jego jak na włosku. Cała odpowiedzialność za jego mienie na mojej głowie. Teraz się usuwać i przyprawiać ich w dodatku o ruinę majątkową, to byłaby podłość z mojej strony; a przy zmianie stosunków pozostać nie mogę. Dziś poprostu jako znajomy nie powinienem rzucać tych dwu kobiet bez opieki. Ale co ja przechodzę? co przechodzę! Szczęście, że nawał pracy pozwala mi ledwo na chwilki zaglądać do chorego, i że wszyscy jesteśmy nim, nie sobą zajęci. Ale one i tak coś miarkują, tak przeczuwam, tak mi się jakoś wydaje — dopowiedział z widoczną przykrością.

Ada słuchała i rysy jej posępniały.

Oroński zaś widocznie broniąc się rozdwojeniu uczuć i chęci, które się w nim rozgrywało, dorzucił:

— Lecz to trudno! Obowiązki honoru i uczciwości zmieniają się ze zmianą pobudek i podstaw, jakie je wywoływały. Dzisiejsze moje kłamstwo winno być przebaczone. Kłamstwo w uczuciu, w małżeństwie, w przysiędze, byłoby hańbą. Ja nie umiem już duszy i serca oderwać od ciebie! Należało tylko wcześniej się opamiętać, i wcześniej to postępowanie dwuznaczne zakończyć.

Ada poruszyła się, cała w rumieńcu.

— A ja... a ja myślę — zaczęła, — iż właśnie lepiej żeś nie zrywał, i że trzeba, abyś rzeczy zostawił, jak są — dopowiedziała zacinając się, choć źrenice miała śmiało rozwarte.

Janusz wpił w nią wzrok głęboko zdumiony, oczekujący.

— Co przez to rozumiesz? wytłómacz!—rzekł, głusząc niepokój, niezdolny pojąć, co powoduje nią: wysoka szlachetność, przelotny kaprys, czy odmowa?

— Ja, widzisz, ciągle przypuszczam, że się rozmyślisz, że pożałujesz panny Roger, bo ja nie jestem taką doskonałością jak ona, mówiłam to dawniej i dziś powtarzam — wypowiadała z pewną ostrożnością w głosie i spojrzeniu. W tej bowiem chwili kotłowało się w niej od wyrzutów sumienia, podrażnionej ambicyi, a zazdrości. Jednem mgnieniem pomyślała: O, tamtej z pewnością żaden mężczyzna nie ważył się pocałować... i poczuła z całą siłą odżywający żal, że zrównać się z Maryą nie może, a powieki paliły ją wstydem.

— A co powiedziałbyś ty na to, gdybyś wiedział—dodała w myśli patrząc na Janusza—ty?!

Oroński wszakże nie mógł jej wnętrza przeniknąć.

Twarz jego rozjaśniła się niezmierną słodyczą.

— Ja nie chcę już doskonałości, ja chcę ciebie! — wyrzekł. — Kocham cię taką, jaką jesteś, i wiem zresztą, żeś stokroć lepszą, niż się przedstawiasz. Ty przygłuszasz w sobie dobro i tkliwość. A druga nasza rozmowa, pamiętasz? A pająk?... Czyż cię żal nad sobą nie przejmował wówczas?

Ada ściągnęła brwi, i ręce, które znów ujmował w dłonie, usunęła.

— Nie, nie! Ja dobrze ci radzę, zastanów się! Bo ja wcale nie jestem lepszą, niż się przedstawiam, — powiedziała żywo.

Janusz pobladł, choć stłumione błyskawice drgnęły w głębi jego oczu. Wstał i powolnym ruchem przewiódł ręką po skroniach, jak dla otrzeźwienia.

— To znaczy zatem, że i ja byłem dla ciebie zabawką? — wyrzekł głucho.—O! to tej igraszki nie trzeba było tak daleko posuwać! nie trzeba!...

Lecz w momencie porwał się i dwoma krokami był przy niej. Wzrok w nią topił, jak żarzewie.

— Więc nie kochasz mnie, Ado? Oczy twoje kłamały, gdyśmy się po przyjeździe spotkali?... I łzy twoje kłamały tam, w parku, kłamały?! Niepodobieństwo!

Ona przechyliła się na oparcie, rzęsy przysłoniła. Zdjął ją okropny wstyd o to igranie, i zdjął ją żal, jakby za dobrem, co uciec miało, a owiał czar, ów rozkoszny, odurzający, jak wówczas pod osłoną drzew w złotym liściu, przeświecających błękitu morzem. Ręce splotła ruchem dziecka, w sennem rozmarzeniu.

Janusz przygiął się ku niej, i usłyszał upragnione słowo miłości.

— A więc po co, po co mnie dręczysz? Dla mnie już niema szczęścia bez ciebie. Gdybyś mogła zrozumieć, jak przeniknęłaś całą mą istotę — mówił, mówił namiętnie choć zcicha, wylewając duszę całą, wpół na kolanach, u jej stóp.

Ona zaś prawie milcząca, oszołomiona, chwilami tylko wstrząsała się lekkim dreszczem i szerzej roztwierała oczy, mgłą zasnute.

A chińska nad nimi lampa, przejrzystą zmroczona zasłonką, nie płoszyła zbytnią jaskrawością uroku i poufności tej rozmowy.

Gdy Oroński odchodził, duszę miał tak rozkołysaną szczęściem i błogością, że w jej upornych słowach „nie zrywaj” widział już nie przekorę, ani groźbę, lecz najprostszą radę, którą zresztą musiał przyjąć i zastosować, nie mając na razie innego wyjścia w swem położeniu.

Dla wszystkich zaś obojętnych, stosunek ich pozostał nadal, jak przedtem, w tajemnicy.

Sprawa z Pietrem Vico tymczasem dla Ady przemieniła się w pewną zagadkę. Mistrz bowiem listownie poprosił o przerwanie lekcyi, pozorując to niezdrowiem. Ona zaś pobocznie dowiedziała się, że w pełni sił pracuje on nad nowem dziełem; stąd wyciągnęła wniosek, że sama jest powodem jego usunięcia, a zarazem motorem natchnienia, lecz na czem się sprawa skończy, przewidzieć nie mogła.

Tymczasem zbliżająca się zimowa pora przyciągała coraz więcej napływowej ludności do miasta i pobudzała coraz silniej ruch towarzyski. Życie czynne wrzało w całej pełni; Ada poczynała też zanurzać się w niem, bezwiednie szukając zagłuszenia.

Sposobności zaś do wszelkiego rodzaju zajęć i rozrywek nie brakowało.

Pani Męcka bowiem przy zbliżającej się gwiazdce miała mnóstwo czynności filantropijnych: kwesty, sprzedaże po sklepach, zbieranie odzieży dla biednych, a fantów do bazaru, i pomoc chętnie przyjmowała.

Inne dobroczynne damy wciskały co chwila w ręce jakieś darmowe malowanie dekoracyjne, też na korzyść biednych. Julia znów wciągała w zorganizowane przez się „stowarzyszenie dzielnych kobiet,” na którego sesye trzeba się było stawiać, pod karą wykreślenia z grona kobiet nietylko „dzielnych,” lecz „szanujących się” i na sprawy społeczne nieobojętnych. Przytem teatr amatorski u pani Darskiej począł przechodzić w fazę prób i lekkich improwizowanych tańców, mimo adwentu. A w maneżu zapowiadali karuzele, do czego drżały wszystkie dusze amazonek, wynudzonych jazdą bez towarzystwa, podczas godzin damskich ćwiczeń.

Wśród tych ruchliwych tygodni przedświątecznych Oroński zajrzał do Ady ledwo razy dwa, i na domiar trafił nieszczęśliwie, bo raz zastał Julią, drugi raz Hubicza.

O ile zaś Ada obojętnie przyjmowała te bruździące w wizytach przeszkody, doświadczając nawet pewnej ulgi, gdy ją omijała rozmowa samnasam z Orońskim, o tyle on zżymał się i srożył niecierpliwie, mimo chęci panowania nad sobą. Zwłaszcza względem Hubicza tak się nasadził zawzięcie, że Maryan przy zdwojonej przenikliwości serca widocznie coś miarkować począł. Zaraz bowiem nazajutrz po tem spotkaniu znów przyszedł, a nie zastawszy Ady, w dwa dni ośmielił się powtórzyć odwiedziny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Stanisław Moniuszko.

Pięćdziesiąt lat upływa od czasu, w którym dowiedziały się szersze koła naszego miasta i naszej prowincyi o tym, później tak gorąco umiłowanym, pieśniarzu swoim.

Znano Moniuszkę przedtem w jego zakątku ojczystym, znali go i dalsi wybrani miłośnicy muzyki, ale w Warszawie po raz pierwszy usłyszano o nim wraz z pojawieniem się na repertuarze teatru jego opery „Loterya” co miało miejsce w dniu 12 Września 1846 roku.

Urodził się Stanisław Moniuszko we wsi Ubielu pod Smiłowiczami 5 Maja 1819 roku. Rodzina jego znana, szanowana i można niegdyś, w czasie, w którym on po ukończeniu konserwatoryum berlińskiego występował na widownię jako kompozytor, zrujnowaną już była majątkowo zupełnie. Były tedy początki w zawodzie tego pierwszorzędnego talentu trudne i ciernistc, tem bardziej, że Moniuszkę wcześnie obciążyły obowiązki męża i ojca rodziny.

Jakoż znajdujemy młodego muzyka w roku 1842 w Petersburgu robiącego starania, których nie miało uwieńczyć żadne powodzenie, następnie wydającego w ciągu lat 1843 i 1844 swój śpiewnik, który rozchodził się bardzo leniwo, pomimo, że znajdowały się tam już perły takie jak „Świtezianka” i wiele innych, później dopiero — o wiele później, jak należy przez ogół odczutych i ocenionych utworów. Kraszewski w korespondencyach swoich do Tygodnika Petersburskiego, popiera to wydawnictwo, podnosi jego wartość artystyczną, zalecając wszakże autorowi zstąpienie o stopień niżej pod względem formy — zastosowanie się do poziomu estetycznego pojęcia mass naszych.

Na zły czas trafił śpiewnik; nie były wcale pomyślniejszemi okoliczności, wśród których ukazała się w Warszawie wspomniana przez nas „Loterya” tak, że zabiegi Moniuszki o zdobycie sobie w naszem mieście stanowiska okazały się równie bezowocne, jak jego starania w tym samym celu przedsiębrane w Petersburgu.

Zmieniło się wszystko dokoła nas od owych czasów. My codziennie patrzymy na to, jak lada uzdolnienie wykonawcze robi wrzawę ogromną, jak się umie wysuwać naprzód, zajmować sobą uwagę ogółu i zaprzątać dziennikarskie szpalty — jak potrafi pozować a gromadzić korzyści materyalne, więc nie łatwo nam ludziom dzisiejszym zrozumieć takie warunki, w których twórczość potężna lata całe pozostawała w cieniu, nie biadając na temat niewdzięczności ze strony ogółu, i nieutyskując w niebogłosy na obojętność dla sztuki — tej sztuki, która sama jedna może i t. d., i t. d.

A jednak chciejcie wierzyć czytelnicy, że takim właśnie pieśniarzem potężnym a nienagrodzonym materyalnie—snującym złotą nić natchnienia a niedopominającym się o natychmiastowe

zlikwidowanie na gotowiznę tych darów, którymi zasypywał społeczność swoją — że takim a nie innym był człowiek, o którym mówimy.

Gdybyśmy chcieli poważniej wniknąć w tajniki wszelkiej wyższej organizacyi artystycznej, zagadka takiej powściągliwej wyższości objaśniłaby nam się bardzo łatwo. Stanisław Moniuszko był nietylko muzykiem kompozytorem, ale poetą aż do głębin ducha swojego — nietylko poetą, ale i rzeczywistym członkiem społeczności swojej; tacy wszyscy ani oskarżają, ani się dopominają o zapłatę, a w młodości każdy z nich gotów w ubóstwie swojem dobrodusznie przyznać, jak przyznawał tamten:

. . . .

Mamo, stryjaszku, jedną tylko duszę
I na parnasie mam włości,
Dochodów piórem dorabiać się muszę
A ranga... u potomności.

Oni mieli ci wszyscy twórcy tę spokojną ufność w sąd potomnych, i każdy z nich, czy się zwał Mickiewicz, czy Moniuszko, czerpał z głębi ducha własnego nie pytając, czy mu za to jedną, czy dziesięciu garściami złota zapłacą, a nadewszystko czy to się spełni dzisiaj, zaraz, czy po latach dopiero. Jużciż przecież czemś odrębnem musi się geniusz od szarego tłumu wyróżniać — a więc ubóstwo najczęściej dla tych wybranych, a frymark, reklama i targi o grosz dla reszty.

Przyszły jednak dla Moniuszki i za życia już tryumfy prawdziwe, a uznanie i miłość ogółu hojnie go wynagrodziły za te skarby melodyi, których nikt przed nim, a jak dotąd to i nikt po nim, można powiedzieć, nie umiał tak podsłuchać w szumach jodeł, echach gór i szmerach tej rzeki, o której z taką śpiewał miłością.

Mówić zrozumiale o wrażeniach jakie wywoływały niegdyś utwory Moniuszkowskie, trudno jest w czasach, kiedy massy z zapamiętałością powtarzają sobie tematy muzyczne jakby umyślnie dla katarynek przeznaczone, kiedy na ustach wszystkich są kuplety w których niewiadomo co podziwiać więcej: pospolitość motywu muzycznego, czy trywialność słów. Musimy jednak w imię prawdy i bezstronności zaznaczyć, że te wrażenia były w owych czasach bardzo poważnej natury, że były głębokie, szczere i że zdradzały upodobania artystyczne o wiele szlachetniejsze niż te, na których się poprzestaje dzisiaj.

To też każdy kto pamięta jakiem sercem witano tę szanowną, pełną prostoty i skromności postać, kiedy się ukazywała przed orkiestrą przy pulpicie swoim, kto sobie przypomni jaka to cisza uroczysta zalegała teatr od pierwszych kilku taktów uwertury Halki, ten przyzna, że umiano słuchać wtedy — że nastrój mass był taki, jakiego tylko pożądać może twórca swojskiego arcydzieła. Któż z ludzi starszych nie przypomina sobie jak podczas onej wielkiej pieśni przed trzecim aktem „Hrabiny," białowłosym starcom po zmarszczonych policzkach łzy serdeczne spływały, jak wraz z ostatnimi tony tego rapsodu, tej epopei i hymnu zarazem, pochylały się w zadumie czoła ludzi, którzy z pewnością z wyblakłym typem miejskich melomanów nic wspólnego nie mieli.

Ej, czarowałeś Ty mistrzu pieśnią twoją, czarowałeś w swoim czasie, porywałeś ty na wyżyny maluczkich i potężnych, światłych i prostaczków, a kiedyś, kiedyś może po latach, jak się zazieleni znowu na tych wygorzeliskach, które spopieliła operetka, jak dziedzina w której ty królowałeś oczyści się z samozwańczych nieudolności i pychy niczem nieusprawiedliwionej, powrócisz znowu w swoim majestacie takim jak byłeś: wielkim tłómaczem na język tonów wielkiego mistrza, którego Ty jeden godny byłeś dotąd illustrować.

T. M.

M. R.

Drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską.

(Dokończenie.)

OJCIEC.

A jeżeli mężowi twojemu to się podobać nie będzie? Bo wyobraź sobie, że bywają tacy, którzy na poważniejszą stronę życia większą zwracają uwagę.

PANNA.

No to zobaczymy. Po ślubie będzie musiał robić to co ja zechcę, i stosować się do tego co lubię.

(Dobrze o tem wiedzieć zawczasu).

OJCIEC.

Jesteś szalona dziewczyna. Z tem wszystkiem ogromnie żałuję, że Lucia z nami nie pojechała.

PANNA.

Niech papa nie żałuje... mielibyśmy z nią dużo więcej kłopotu.

MATKA.

Anielcia utrzymuje, że Lucia jest jeszcze za młoda na takie wycieczki.

PANNA.

Zarówno ojciec jak i mama powinni teraz myśleć przedewszystkiem o wydaniu mnie za mąż. Lucia mając lat osiemnaście może poczekać cierpliwie aż się mój los ustali, później jak ja zamąż pójdę i na nią kolej przyjdzie.

MATKA.

Zresztą oddałam jej pod opiekę szwaczkę, ażeby dopilnowała dobrego wykończenia zadanej roboty, miała usmarzyć konfitury z wisien i poziomek, i naprawdę trzeba było kogoś w domu zostawić. Musisz przyznać mój mężu, że to jest nawet bardzo zaszczytne zadanie dla ośmnastoletniej panienki.

OJCIEC.

Nie przeczę, moja droga, ale widziałem, że biedaczka wielką miała ochotę jechać z nami do Warszawy. Więc nigdy nie pozwolicie, żeby się ona w jakikolwiek sposób troszkę rozerwała.

PANNA.

A papa to tylko zawsze o niej myśli, tylko o niej pamięta nie bacząc na to, że przecież ja jestem starszą.

MATKA.

Tak, kochany mężu, trzeba przyznać, że jesteś nadzwyczaj niesprawiedliwym względem Anielci.

OJCIEC.

Ja jestem niesprawiedliwym, to dopiero zarzut niespodziewany! Na tem się zawsze kończy, że robię wszystko co wam się podoba, a to biedactwo zostaje na boku ciche i pokrzywdzone. Jeszcze to łaska Pana Boga, że charakter taki dobry, bo nigdy się nie skarży, a zawsze taka dla wszystkich serdeczna i kochająca.

Panna Aniela z matką przybierają miny obrażone, pełne zresztą pogardliwego politowania dla pana Sylwestra, nie raczą już dalej prowadzić z nim rozmowy, tylko zabierają się do rozwijania paczek i pakiecików, zawartych w dużej czarnej torbie. Rozwinięte rozkładają na pustych siedzeniach. W powietrzu rozchodzi się zapach wykwintnych pachnideł. Anielka zadowolniona jest bardzo z dużego flakonu fijołków parmeńskich z „corbeille-fleurie," matka zaś obstaje za wyższością konwaliowych perfum Loxego, które sama wybrała. Obydwa porównywane zapachy łączą się rozkosznie w atmosferze wagonu. A mydeł jaka staranna kolekcya! Ixora, opoponax i inne nazwy obijają mi się o uszy przy rozwijaniu półtuzinowych, wykwintnych pudełek. Lekki powiew wietrzyka daje mi wnosić, że jest obecnie chwila przeglądania wachlarzy, które są piękne, duże i zapewne kosztowne. Jakoż słyszę wymieniane dosyć znaczne ceny. Pomału rozmowa staje się głośniejszą, nie krępowaną bynajmniej obecnością nieznanego współtowarzysza podróży. Jestem niczem. Pomimo tego widzę, że panna Aniela zbliżywszy się ku mojej stronie przypatruje mi się uważnie, uśmiechając się złośliwie. Jednakże nie poruszam się wcale... jeszcze na przebudzenie nie przyszedł czas.

Matka z córką mają sobie tysiączne rzeczy do powiedzenia, oglądając nabyte przedmioty, unoszą się nad ich wyborem.

MATKA.

Prześliczna jest ta sznelowa pelerynka od Hersego. Nie miałam wyobrażenia żeby można taką mieć za dwadzieścia rubli, wiesz że to jest za bezcen.

OJCIEC.

Jakto, taka drobnostka dwadzieścia rubli kosztuje?

PANNA.

Alboż to dużo? Przy nas była jedna pani, która kupiła trochę większą za pięćdziesiąt.

OJCIEC.

A czy nie wzięłyście takiej drugiej dla Luci?

PANNA.

Dla Luci? Nie, nie ma żadnej dla Luci; dla niej byłaby taka za strojną.

MATKA.

I za kosztowną, ona jeszcze za młoda, ma dopiero rok ośmnasty.

OJCIEC.

Dobrze przynajmniej, że ja przywożę gościńca dla tej mojej kochanej biedaczki.

PANNA.

Cóż to jest takiego? Niech nam papa pokaże.

OJCIEC.

Przywożę jej moją fotografią. Wiem, że się z niej ucieszy.

Ojciec zwolna wyjmuje z bocznej kieszeni pugilares, otwiera go, wydobywa kilka fotografii. Panna Aniela zabiera je i przygląda się im niedbale.

PANNA.

Nie mogę powiedzieć, żeby była korzystna, ale jest dosyć do papy podobna. A! ma tu papa i fotografią Luci! Biedna Lucia, jak ona tu wygląda, z tym grubym, spuszczonym warkoczem! Czy też ona kiedy nabierze trochę szyku?

MATKA.

To dziwna rzecz, jak ona nie umie się ubrać!

PANNA.

A co gorsza, że nie chce mnie słuchać!

(Oj Luciu! Luciu! Jak możesz nie być posłuszną takiej siostrze!)

Opis tak niekorzystny nie odstręcza mnie wcale; owszem bierze mnie szalona chętka zobaczyć fotografią a następnie poznać oryginał portretu. Otwieram trochę oczy, ale się jeszcze nie rozbudzam zupełnie. I Filek wyspał się także, po odpoczynku wraca mu ochota gryzienia papieru... rzuca się na swoją panią, wydziera jej fotografią, którą trzymała w ręku, a złapawszy zdobycz ucieka z nią w moją stronę.

Pan Sylwester rozgniewany chce mu ją odebrać, ale figlarny mopsik chroni się pod moje nogi. Nie mogę już dłużej wytrzymać, chwytam psa za jedwabistą czarną skórę na karku, potrząsam nim mocno, wołając: „Oddaj zaraz".

Piesek przestraszony, upuszcza kartę, a odzyskawszy wolność wraca w objęcia swojej pani, która w tej chwili nie wie czy ma śmiać się, czy też gniewać za niespodziewaną interwencyą.

Podniósłszy nadwerężoną trochę fotografią, wygładzam ją ile możności i oddaję panu Sylwestrowi, który ją przyjmuje z wdzięcznością i podziękowaniem.

Jakkolwiek było to dziełem jednej chwili, miałem wszakże czas rzucić okiem na wizerunek panny Lucyny, która mi się wydaje prześliczną. Uderza mnie głównie wyraz dobroci i słodyczy przypominający ojca.

Wielkie ciemne oczy patrzą z prostotą anielską a usta rozsunięte czarują bardzo wdzięcznym uśmiechem.

W skutek tego wydarzenia zawiązuje się rozmowa z moim przyszłym teściem. Oh, bo musi nim być koniecznie!

Zapoznajemy się, wymieniając wspólnie nasze karty wizytowe.

Zdziwienie ogromne z mojej i z jego strony.

— Pan Sylwester Godzięba! A zatem szanowny pan jest przyjacielem mojego wuja Pawła Małokrzyckiego!

— Pan Gustaw Drzewiecki! Siostrzeniec tego kochanego Pawła! Kochana żono pozwól, że ci przedstawię pana Gustawa Drzewieckiego.

Pani Godziembina przybiera w tej chwili niezmiernie uprzejmy wyraz twarzy. Poczuwszy zięcia w pobliżu rzuca spojrzenie ku córce, ale spojrzenie to chwytam w lot i rozumiem dobrze co znaczy. Anielka powiadomioną jest doskonale o projektach starych przyjaciół, chociaż udaje, że nic o nich nie słyszała.

Kłaniam się poważnie i zimno. Rozmowa toczy się następnie o Warszawie, wyścigach, teatrze i o Piotrkowie. Pan Sylwester szczerością i dobrocią podbija serce moje zupełnie. Pani nie wiele się odzywa, ażeby zostawić więcej pola popisu w rozmowie pannie Anieli.

Ta staje się słodką, miłą, uprzejmą, pełną tkliwej czułości dla ojca. Cieszy się, że powraca do domu, do młodszej siostry, do której się stęskniła po kilkodniowem niewidzeniu... tak pragnęła, żeby razem jechały, ale byłoby to zbyt nierozsądnie.

Słysząc to wszystko zmuszony jestem oczy przecierać dla przekonania czy nie śpię, czy mi się nie śni, czy nie marzę? I to jest ta sama Anielka!

O błogosławiona podróży! bez ciebie cóżby się ze mną stało?

— Skierniewice! Piętnaście minut! — woła konduktor.

Wysiadam szybko z wagonu, ażeby się czemś posilić, trochę nogi wyprostować, ale przedewszystkiem biegnę do biura telegraficznego, roztrącając przechodniów na prawo i lewo.

— Łaskawy panie, proszę pręciutko wysłać depeszę — wołam do urzędnika i piszę pospiesznie na podanej mi kartce:

„Suwałki. Pan Paweł Małokrzycki. Nie Anielka tylko Lucyna, Gustaw Drzewiecki."

Wystawa hygieniczna.

Dzięki inicyatywie redakcyi „Zdrowia," dzięki następnie usiłowaniom członków tejże redakcyi, pomocy materyalnej miasta i współdziałaniu energicznemu ludzi dobrej woli a przedsiebiorczego ducha, ma nareszcie Warszawa tę wystawę, o której słyszy i czyta od lat dwóch już zgórą we wszystkich swoich specyalnych, tygodniowych i codziennych pismach.

Oprócz terytoryum obszernego, assygnowała municypalność kwotę 18,000 rubli, przy pomocy której można było rozpocząć prace przygotowawcze, zaprowadzić gazony, plantacye, wznieść pawilon centralny murowany, który pozostanie po zamknięciu wystawy, wreszcie oparkanić i pobudować niezbędne pawilony drewniane i halle wystawowe. Ma tedy Higeopolis warszawskie swoje ulice: Hipokratesa, Gallena i inne tego samego autoramentu place i dzielnice, które już pozostaną na wieczną rzeczy pamiątkę, a co do kosztów, te wedle tego na co obliczył komitet, pokryć się one powinny przez opłaty eksponentów za miejsca przez nich zajęte, i wpływy, które się osiągnąć mają ze sprzedaży biletów wejścia. A że trwać ma ta ekspozycya cztery miesiące najmniej, więc widmo deficytu towarzyszące nieodstępnie wszystkim prawie tego rodzaju przedsięwzięciom, nie zachmurza dotąd umysłów członków komitetu, a co do nas, chcemy wierzyć, że nie zachmurzy i przy sporządzeniu ostatecznego obrachunku.

Wystawców jest ogółem 351. Dział ginekologiczny zarezerwowany wyłącznie dla lekarzy, pominiemy tutaj zupełnie, poprzestając na zapewnieniach sfer kompetentnych, że jest on istotną chlubą i ozdobą wystawy i wiernym obrazem postępu prac w tej gałęzi sztuki lekarskiej. To co uwagę przeciętnego widza uderza najpierw, to owo pogotowie ratunkowe dostarczone staraniem hr. Przeździeckiego, którego się Warszawa ma nareszcie prawo spodziewać w przyszłości mniej więcej blizkiej, a które każde tych rozmiarów i tego zaludnienia miasto mieć koniecznie powinno. Smutny co prawda jest widok tych ekwipażów przeznaczonych dla ofiar nieszczęśliwych wypadków, smutniejszy jeszcze ów powóz cały blachą wybity, dla dotkniętych chorobami epidemicznemi; lektyki posępne, nosze ponakrywane czarnymi całunami nasuwają myśli, od których strzeż Boże przyjaciół i nieprzyjaciół naszych, ale cóż robić!

Skoro są epidemie, trzeba im się umieć bronić, skoro spadają ludzie z dachów i okien, dostają się pod koła powozów i między tryby maszyn, lepiej mieć pogotowie ratunkowe jak go nie mieć.

Inicyatorowi w każdym razie za jego starania należy się szczera wdzięczność ze strony ogółu, tembardziej, że na tle tej powszedniości naszej codziennej, fakta takie są rosą ożywczą, która godzi, przejednywa, i która przecież naśladowców wśród ludzi fortun i imion znanych, zrodzić powinna. Co prawda nazwisko ofiarodawcy przyzwyczailiśmy się łączyć z myślą dobra ogólnego, i dlatego tem milej nam było spotkać się z niem na polu szlachetnie pojętej pracy społecznej.

W pawilonie głównym znajdujemy środki dezinfekcyjne, systemy opatrunkowe najrozmaitsze, wystawy artykułów spożywczych i falsyfikaty tychże pouczające w każdym razie, dla jak najszerszych nawet kół zwiedzającej publiczności. Herbata, która między tymi falsyfikatami niepoślednie zajmuje miejsce, reprezentowana tam jest w okazach dość charakterystycznych, aby zwrócić uwagę i umożebnić rozróżnienie prawdziwej od fałszowanej, moczonej i wogóle—podrabianej. Jest wreszcie zielona, chińska, kaukazka, podobnie jak kawa, autentyczna i naśladowana, z którą się u nas przedsiebiorczość izraelskiego plemienia przedziwnych figlów dopuszcza.

Dział gimnastyki odgrywającej w dzisiejszem wychowaniu tak ważną rolę, jest w obu pawilonach bardzo pokaźnie reprezentowany. Ortopedya d-ra Skowrońskiego z całym arsenałem narzędzi i przyrządów przypominających wynalazczość Torquemady i jego pomocników, mnóstwo fotograficznych zdjęć skrzywionych kolumn pacierzowych, nóg nieprawidłowych, i wszelkich tego rodzaju nieszczęść, na które w całości lub części skutecznem okazuje się stosowanie gimnastyki racyonalnej, wszystko to w oddziale d-ra Skowrońskiego znajdujemy w wielkim doborze.

Gimnastyka szwedzka p. Heleny Kuczalskiej wraz z eksperymentami mieści się w pokoju osobnym, gdzie na przykładach mogą zwiedzający przypatrzeć się sposobom aplikowania tego środka, o którego skuteczności w wychowaniu a nawet jego konieczności, nikt już dzisiaj z pewnością nie powątpiewa.

Wystawa narzędzi operacyjnych, apteczki wraz z całym doborem środków używanych do pierwszej pomocy, modele szpitali niektórych z ich wnętrzami, wyroby mieszkańców tych smutnych przytułków niedoli wszelkiej, są na wystawie dosyć licznie nagromadzone. Z pomiędzy nich zasługują na uwagę firanki zrobione w Tworkach bardzo delikatne i pięknie wykończone, takież dywany na ścianę i inna wytwórczość ręczna. O Studzienieckiej natomiast produkcyi rękodzielniczej nic przychylnego powiedzieć nie można; jakieś to wszystko grube, niezdarne i nie zasługujące wogóle na przedstawienie uwadze publiczności.

Hygiena po wieloletnich utyskiwaniach nad gorsetami kobiecemi, stanowiącymi niezaprzeczo-

ną plagę niedosyć stanowczych matek i wychowawczyń, musiała rozumie się dopuścić przedewszystkiem ekwiwalenty tych nowoczesnych tortur, które utrzymując w granicach względnego posłuszeństwa nadmiernie bujną karnacyą panieńską, spełniają to zadanie z małym dla organizmu uszczerbkiem. Szkoda tylko, że różne firmy pomieściły tuż obok swoje prawdziwe starego autoramentu sznurówki. Jeśli to ma być jako postrach i przestroga, niechajżeby sobie i było na wystawie, chociaż doprawdy, pomiędzy tem co ma leczyć, uzdrawiać i zapobiegać, umieszczać to wszystko co psuje i niszczy, nie wydaje nam się stosownem.

O dziale pedagogicznym całym, o szkołach froeblowskich, szkołach rzemiosł, pracach małych uczniów i uczennic, wydawnictwach, i tem wszystkiem co z blizka lub z daleka o sprawy wychowania potrąca, możnaby bardzo wiele powiedzieć, gdyby nam ramy naszego sprawozdania na to pozwalały. Niestety na tej pobieżnej wzmiance ograniczyć się tym razem musimy. Ponieważ w program hygienicznego życia rodziny wchodzą niezbędne w naszych czasach letnie mieszkania, a te ostatnie znowu są już dla drożyzny swojej, już z innych powodów przedmiotem powszechnych narzekań, wystąpiła więc jedna z firm z okazem przenośnego domu, który można rozbić wszędzie — choćby na skraju jakiej puszczy leśnej, i kosztować wszystkich błogosławieństw, jakie zapewnia człowiekowi czystość, konfort, a nawet elegancya jego materyalnego otoczenia. Misterne te budyneczki, o ścianach z massy papierowej, zachęcająco wielce wyglądają z pozoru, i gdyby tylko można być pewnym, że tyle w nich będzie powietrza i chłodu w upalny dzień letni, ile powabu na pierwszy rzut oka, o decyzyą nabycia sobie podobnego mieszkanka nie powinno być trudno komuś, dla którego sprawunek kilkusetrublowy zbyt drogim nie jest. Pociąga to tem więcej, że można przy pomocy parokonnego wozu przenosić swoje penaty z gór Świętokrzyskich na przykład, w okolice rzek i jezior, i wszędzie być u siebie po zadzierżawieniu paruset łokci kwadratowych gruntu. W każdym razie rozchodzi się u nas tych domków jak na początek bardzo wiele podobno.

W związku z powyżej opisanym domkiem, jeśli już mówić mamy o rozkoszach życia koczowniczego, na które nam najwyraźniej się zabiera w tych czasach, jest pięknie wykonany, a przedewszystkiem dowcipnie bardzo obmyślany mebel podróżny, z którym zaprodukowała się nasza firma „Wojciechów.” Jest to sobie biurko, które zwraca uwagę zwiedzających doborem przyrządu gotowalnianego zupełnie dostatecznego dla przeciętnej, szanującej się elegantki. Otwarty przytem pulpit do pisania wskazuje możliwość i tego jeszcze użytku dodatkowego, i odszedłby sobie każdy zupełnie zaspokojony wyglądem tego sprzęciku eleganckiego, gdyby go delegowany firmy nie objaśnił, że ma to biurko, i ta gotowalnia jeden jeszcze użytek dodatkowy, którego trudno było wistocie domyśleć się komukolwiek. Otwarta górna szuflada przekonywa zdziwionych, że nie jest to właściwie ani biurko, ani toaleta, ale łóżko, w które przemienia się w jednej chwili ten mebel czarodziejski—łóżko aktualne, rzeczywiste, napełnione w dodatku niesłychanie zachęcającą pneumatyczną pościelą, zdolną obudzić prawdziwe pożądania każdego zamiłowanego śpiocha. Reszta mebli wystawionych przez Wojciechów pomimo, że z hygieną nie zostaje w związku żadnym, mile zatrzymuje na sobie wzrok zwiedzającego, choćby dlatego, że jest ona dotkliwem upomnieniem dla wszystkich zrzędów i gderaczy z profesyi. Kto udręcza siebie i drugich tym arcynudnym tematem, że my wszyscy razem wzięci w przemyśle fabrycznym jesteśmy zerem zupełnem, że nie umiemy pracować wytrwale, doskonalić i ulepszać, że byle nasze „ski” i „wicz” figurowało na firmie, zgóry można być pewnym, że tam po za szyldem coś bardzo podrzędnego się ukrywa — każdemu tedy kto chętnie jeździ na tym koniku dychawicznym, radzimy niechaj obejrzy wyroby tej firmy zupełnie krajowej, a może mu się potoki elokwencyi zatrzymają cokolwiek.

Niby nie należą także do hygieny w ścisłem rozumieniu, tablice opracowane przez p. Adama Zakrzewskiego — niby nie należą, ale Bóg tylko jeden wie, ile to epidemij fizycznej i moralnej zarazy ciągnie za sobą u nas ten szczep, którego stosunek do autochtonów wyrazić zamierzył pan Zakrzewski na tej tablicy swojej. Bo wystawcie sobie czytelnicy kartę naszej prowincyi, a na niej wszystkie miasta i miasteczka poznaczane kółkami. Te kółka mają tło czarne do białego w tym precyzyjnie stosunku, w jakim zostaje ludność żydowska do naszej. Wyobraźcież sobie czytelnicy, że tego czarnego dużo jest bardzo — gotowibyśmy powiedzieć, że zadużo a przedewszystkiem o wiele więcej niż ten organizm wątły znieść może takich żarłocznych pasożytów. Przerażająca jest wistocie owa tablica, smutniejsza nieledwie od mar i noszów pogotowia ratunkowego dla każdego, kto nie może sobie powiedzieć: „potop po mnie.” Tłumy też stają przed nią i wierzajcie, że wcale nie wesołe mają miny.

Co do sługi waszego, czytelnicy, to wyznać on musi, że w szczególnem prawdziwie otoczeniu pozwolił mu los wpatrywać się w to wymowne „memento mori.” Spojrzał on po najbliższych twarzach, spojrzał po ubraniach ludzi, którzy stali dokoła. Ubranie było europejskie, mowa nasza—czysta i poprawna nawet, ale twarze, ale typ, ale rasa... Pomimo, że wedle ksiąg stanu cywilnego nie kwalifikowali się niby ci wszyscy do koloru czarnego, ale jeżeli w ich istocie moralnej tyle zostało praojczystego pierwiastku, wiele go wyrażały twarze, to położenie nasze o wiele jeszcze mniej korzystne niż poucza ta mapa i na dobrą sprawę należałoby prosić p. Zakrzewskiego o nową kartę, ale już nie w dwóch a w trzech kolorach: czarnym, szarym i białym. Ten szary wydaje nam się doprawdy koniecznym, bo inaczej nie porachujemy się nigdy jak należy i w wielu sprawach nie przestaniemy błędnie wnioskować.

Rozprawić się z wystawą na tych paruset wierszach nie mamy zamiaru bynajmniej. Owszem w miarę jak zapełniać się będą puste jeszcze kioski i niezajęte miejsca we wnętrzu hall wystawowych, w miarę jak przybywać będzie objaśnień specyalistów, nie omieszkamy dzielić się z czytelnikami naszymi tem wszystkiem, co ogół myślący interesować może i powinno. Na tej wzmiance dzisiejszej nie poprzestaniemy z pewnością, tembardziej że uważalibyśmy to za rodzaj lekceważenia dla poważnej pracy ludzkiej—lekceważenia, od którego bardzo dalecy jesteśmy. Dzisiaj wspomnieliśmy o tem co stanowi treść, co należy do akcesoryów, co zwróciło uwagę naszą pomimo, że z hygieną wspólności nie ma żadnej, a na zakończenie dodamy jeszcze chyba słów kilka o tem, co na wystawie hygienicznej jest antihygienicznego w całem tego słowa znaczeniu. Juźciż chyba te kioski w formie beczek lub butelek olbrzymich, te szafy i gabloty zastawione winem, likierami, piwem, koniakami i innymi przetworami alkoholicznego pochodzenia, ze zdrowiem ludzkiem w przyjaznym stosunku nie zostają. A jest tego dużo, bardzo dużo — nadmiernie dużo, i chybaby jednymi tylko względami materyalnymi, obecność tych wszystkich trucizn powolnych na wystawie hygienicznej, usprawiedliwioną być może.

Jak słychać ma też wystawę naszą odwiedzić fakir indyjski i spać sobie u nas w szklanej trumnie przez jakieś dnie i tygodnie, a następnie obudzić się i żyć dalej zdrowszym i silniejszym niż był przedtem. Niechajże sobie przyjeżdża, może się od niego nauczymy czegoś i my także.

T. M.

Dla dzieci.

Trzeba wam wiedzieć czytelnicy, że zanosi się w naszej Warszawie na teatr dla dzieci...

Nie róbcie matki wielkich oczu, nie ruszajcie ramionami z niedowierzaniem, posłuchajcie lepiej sprawozdania w tym przedmiocie jednej z gazet naszych, której ton i przychylne dla tej sprawy usposobienie postaramy się przedstawić w kilku charakterystyczniejszych ustępach. Zawsze dobrze wiedzieć kiedy bieda nadchodzi, a ważnem jest także bardzo poznać — zkąd nadchodzi.

Zaczyna się rzecz oczywiście od summarycznego załatwienia się z wychowaniem dawnem: „C'est de rigeur” — jak powiadają Francuzi; bez tej małej a ze wszelkich względów kompetentnej wycieczki w przeszłość obejśćby się przecież nie mogło. Oto jak biada nad pokoleniami minionemi autor artykułu, o którym mowa:

„Dziadowie nasi po przeżyciu długiego łańcucha lat, zchodzili ze świata nic jeszcze nie wiedząc o istnieniu nowego, racyonalnego rozwijania umysłów dziecięcych.”

Niby czyi dziadowie? Jeśli idzie o dziadów tej niezmiernej większości tutejszej, to nie tak znowu mało wiedzieli oni w tej kwestyi, jak się piszącemu wydaje. Mieli oni swoje wyrobione nauką i praktyką pojęcia pedagogiczne wcale nieposlednie, swoją metodę i szkołę z którą wartoby się pierwej zapoznać, zanim uda się ją jednym zamachem dziennikarskiego piórka od wszystkiego odsądzić, wreszcie mieli żyjące dowody swoich prac, za które w grobach wstydzić się nie potrzebują. Tyle co do dziadów naszych w rozumieniu zwykłem i prostem. Gdyby zaś wypadkiem szło o dziadów naszych w tem znaczeniu: co „nasi zięciowie” i „nasze przebiegi,” to wyznajemy, że ogół nasz tyle obchodzą ci dziadowie, co pedagogika ich wnuków. Ale chodźmy dalej:

„Dziecię wiejskie z epoki naszej (Czy licho nadało ten nieszczęśliwy zaimek dzierżawczy), reprezentowane już dzisiaj przez ojców rodzin, wychowywało się w warunkach całkiem odmiennych niż dzisiejsze. Nie znaliśmy jeszcze metod poglądowych, szkółek froeblowskich i gier naukowych...”

Rozumie się! Jak tylko nie było metody poglądowej, ogródka froeblowskiego i gier naukowych, to nie pozostaje jak tylko ruszyć ramionami nad całym pedagogicznym dorobkiem przeszłości. W każdym razie posłuchajmy jeszcze

trochę, bo to ucieszne jest to kołowanie i te wstępy, kiedy idzie o zareklamowanie jakiegoś gorąco poleconego geszeftu.

„Wycieczka świąteczna w towarzystwie niańki za miasto, lub książka illustrowana odczytywana wieczorami i komentowana przez ojca, stanowiły wstęp do wykształcenia szkolnego."

Nie mówiąc już nic o tem wykształceniu szkolnem, mamy sobie jednak za obowiązek objaśnić autora tego mimowolnie humorystycznego artykuliku, że w czasach owego obskurantyzmu, matkę każdą wysełającą za miasto dziecko swoje pod opieką niańki, nazywano u nas matką złą i niedbałą, a coby powiedzieli ci ludzie ciemni o dzisiejszych sposobach dobierania się do mózgów dziecięcych odgadywać nie śmiemy, ale tak sądzimy, że nie byłoby to bardzo zaszczytne ani dla metody, ani dla nas, którzy sobie nią pozwalamy głowę tumanić, ani dla progenitury naszej, która aż takich środków pedagogicznych przy zwyrodnieniu swojem wyraźnem wymaga.

Jeszcze tylko parę słów ostatnich, które nam potrzeba przytoczyć.

„Chodzi nam obecnie o zaznaczenie faktu, który jest niejako wyrazem panującego obecnie prądu wychowawczego. (?) Oto były współdyrektor teatrzyku i t. d., i t. d., i t. d."

Miły Boże! Czy to jednak warto, tyle przebiegłości zużywać do tak mizernego celu. Otóż zakłada ten pan przedsiębiorca dawnego teatrzyku ogródkowego obecnie teatr pedagogiczny, poświęca się dla dobra dzieci, a iżby ten teatr odpowiedział wszelkim wymaganiom, przeto dobrał sobie do pomocy literata pedagoga i jemu powierza kierunek repertuaru.

Wierzyć się nie chce doprawdy, aby możebne były podobne zamachy na zdrowy sąd rodziców i wychowawców w epoce, w której nauka coraz głośniejszy podnosi alarm nawołując do poprawy wychowania—w której medycyna ostrzega o stałym wzroście newrozy w pokoleniach przybywających — w których psychologowie i moraliści mówią o konieczności hartowania zanikającej woli i kształceniu charakteru w człowieku dzisiejszym. A wszyscy jak źródło złego wskazują przeżycie przedwczesne, wszyscy przyczynę przyczyn widzą w zbyt pospiesznem dotknięciu ustami czary życia tak nieopatrznie za dni naszych postawionej przed niedojrzałą młodością. Epoka, która ma nieletnich alkoholików i psychopatów, nieletnich samobójców i przestępców cyfrę dotąd niebywałą, musi przecież radzić o sobie—musi śpiesznie obmyślać środki ratunku, a do takich należą: wzmocnienie organizmu fizycznego dziecka, jego obcowanie z naturą, uproszczenie warunków bytu—w ogóle odrzucenie tego wszystkiego czem cywilizacya skrzywdziła wszystkich przyjmujących jej dobrodziejstwa bez zastrzeżeń i wyboru.

Kto i kiedy powiedział, że dziecko dla rozwoju umysłowego i moralnego potrzebuje wrażeń silnych i wstrząsających, a jeśli by się zdażyła taka organizacya majątkowa, dla której to okazałoby się koniecznem, to czy wolno to brać za środek pedagogiczny dający się stosować powszechnie, a przedewszystkiem dopuszczalny dla pokolenia anemicznego, przynoszącego ze sobą na świat zarodki wszystkich możliwych dziedziczności ujemnych?

Kto z ludzi, mających prawo zabierania głosu w tej sprawie doradzać będzie tej zwątlonej generacyi dziecinnej widowiska teatralne jakiegokolwiek rodzaju?

Gdzie są ci rodzice niebaczni, którzy sobie łamią głowy nad wyszukiwaniem dla dziecka wymyślnych i coraz nowych rozrywek — gdzie są tacy, a jeśli są, to jaką przyszłość gotują oni temu dziecku i sobie samym? Wszak niepotrzeba być nadzwyczajnie przewidującym, żeby zrozumieć, iż dziecko, które ma w lat pięć i sześć teatr maryonetek—w dziewięć i dziesięć podróże fantastyczne, niemożebne przygody i czarodziejstwa na scenie—że dziecku takiemu, gdy dojdzie do lat piętnastu potrzebną będzie w teatrze „dama kameliowa" — że w 18 nudzić go będzie wszelkie widowisko z wyjątkiem tych chyba, jakich dostarcza teatr wolny, a zanim dojdzie pełnoletnoletności prawnej, pozostaną mu jako pożądania jedne już tylko walki byków i krwawe po cyrkach zapasy atletów.

Gdzie wreszcie stosowano tę metodę, jakie z niej otrzymano rezultaty tak zachęcające, żeby innym wolno było myśleć o naśladowaniu — jaką my mamy literaturę, odpowiednią i zkąd przypuszczenie, żeby się w naszych warunkach cokolwiek nieszkodliwego pod tym względem zrobić dało?

Na szczególne, przyznać należy, figle i psoty zdobywa się u nas spekulacya. Niechajże się w dodatku trafi jednostka ruchliwa i przedsiębiorcza, jak się to u nas wyrozumiale określać zwykło, to może ona bezkarnie napsuć więcej, niż się dziesięciu ludziom dobrej woli uda poprawić i na właściwą drogę skierować w ciągu całego życia.

A jednak pomimo tego krzątania, o którem pisze bezkrytyczna część dziennikarstwa, nie wróżymy przedsiębiorcy powodzenia. Najprzód, że oduczył się ogół wierzyć bezwzględnie w to, co prasa poleca; długie doświadczenie przekonało go, iż reklama mieści się nietylko na czwartej kolumnie dziennika, ale że owszem wciska się ona i w trzy pierwsze, przybierając obłudną maskę artykułów rozumowanych, a potem co najważniejsza, że nie wszyscy jeszcze rodzice puścili na spacer zdrowy rozsądek, i że jeśli gdzie zasięgają dzisiaj ci ludzie rady i objaśnień w trudnych jak nigdy kwestyach wychowawczych, to zpewnością nie w szpaltach prasy codziennej, która się do zbytku usłużną dla najrozmaitszych wpływów okazuje.

K.

Odpowiedzi od redakcyi.

Wiejskiej pannie. Prosimy o adres. Objaśnienia zbyt są obszerne, abyśmy je w piśmie pomieścić mogli.

Wskazówki i rady.

KURCZĘTA DUSZONE.

W braku do rożna odpowiedniej kuchni, bardzo dobre można podać kurczęta duszone w rondlu. Na troje kurcząt zagotować mocno na żółto, ale jeszcze nie rumiano, łyżkę masła, włożyć kurczęta całe, posolone, przygotowane jak na rożen i na mocnym ogniu zrumienić na wszystkie strony, następnie wstawić w piec włożywszy łyżkę dużą młodego masła, przykryć pokrywą, zaglądając, aby soku nie puszczały, wtedy należy zaraz odkryć, gdy znać że już nie surowe, mieć na talerzu tartą bułkę, utarzać każde w niej, rondel postawić znowu na ogniu, włożyć kurczęta napowrót, a przewracając je na wszystkie strony, dać się bułce zlekka zrumienić. Całe duszenie, jeżeli kurczęta małe, nie powinno dłużej trwać nad dobre pół godziny, jeżeli większe — trzy kwadranse. Są bardzo smaczne, jeżeli starannie zrobione.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

SPROSTOWANIE.

W numerze 21, str. 162, szpalta 1-sza, wiersz 4-ty od dołu, zamiast: *fałszowana* czytaj: *nie fałszowana,* zamiast: *ta nieprawdziwa,* czytaj: *ta prawdziwa.*

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Мая 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.